



Elżbieta Karkoszka i Tadeusz Huk w „Spaghetti i miecz” Kazimierza Kutza



W „Damach i huzarach”



Z Anną Polony, Jerzym Trelą, Anną Dymną

– Proszę powiedzieć, gdzie leżą Karkoszki?

– Pod Łodzią. Ale nigdy tam nie byłam. Nie jest to żadna moja posiadłość, choć korzenie rodziny stamtąd się wywodzą. Pradziadek wracając do domu, na ostrej bani, spotkał policjanta. I panowie odbyli taką oto rozmowę: – *Jak się nazywacie?* – *Karkoszka.* – *Skąd idziecie?* – *Z Karkoszek.* – *Gdzie mieszkać?* – *W Karkoszkach.* – *Gdzie idziecie?* – *Na Karkoszki.* Z tego, co wiem, mój dziadek już tam nie mieszkał.

– **Podobno Pani pradziadek przegrał ten majątek w karty?**

– Tak opowiadają. Z księdzem.

– **Opowiadają też, że we wczesnej młodości popijała Pani z Przybosiem kawę.**

– *Ścisłe mówiąc miałam zaszczyt kawę mu podawać.* A było to we Wrocławiu, w maturalnej klasie Liceum Pedagogicznego. Studencka estrada poetycka „Pandora” z okazji zjazdu krytyków i literatów przygotowywała program, oparty na poezji Leśmiana. Ale brakowało im dziewczyny. Jako przyszła studentka dałam się namówić do udziału w tym przedsięwzięciu. Po programie częstowaliśmy gości kawą. Podałam ją Przybosiowi, a on zaprosił mnie do swojego stolika. Byłam w siódmym niebie. Siedziałam po raz pierwszy przy autorze, którego wiersze recytowałam. Obok Przybosia usiadł Sztajdynger. Skreślił do mnie kilka słów na serwetce. Do niedawna przechowywałam ją jako miłą pamiątkę. Niestety, gdy opędzono nam mieszkanie, karteczka zniknęła.

– **Mieszkanie, w którym siedzimy, tak pięknie zaprojektowane, jest dziełem Pani, niedoszłej projektantki, czy meża architekta?**

– Męża. Nawet nie odważyłabym się powiedzieć, że przykładałam do tego rękę. Ale to prawda, że marzyłam o architekturze wewnątrz. Byłam dobra z matematyki i rysunku, przygotowana do egzaminu przez moich nauczycieli. Miałam go zdawać następnego dnia po owym spotkaniu z Przybosiem. Ale wróciłam późno do domu i w efekcie na egzamin nie dojechałam. Wtedy przypomniałam sobie Mieczysława Voita, który po konkursie recytatorskim namawiał mnie na szkołę teatralną. Jak stał przede mną, to jego pasek od spodni miałam na wysokości oczu. Ja małutka – on wielkie chłopisko. Myślałam, że drzwi ze mnie namawiając na aktorstwo. Chciałam koniecznie studiować, byle nie uczyć dzieci. Więc zaryzykowałam.

– **O Pani egzaminach do PWST krążą dwie wersje: jedna, że zdawała Pani najpierw do Warszawy, a druga, że od razu do Krakowa.**

– O Boże, a ja myślałam, że o tym nikt nie wie. No, teraz mogę się już przyznać. Zdawałam do obu, co wówczas było

# W złodziejskim zawodzie

Z ELŻBIETĄ KARKOSZKĄ rozmawia Jolanta Ciosek

zabronione. Najpierw do Warszawy. Zamieszkałam w „Domu Chłopa”, w pokoju z czterdziestoma ośmioma łózkami, gdzie kłębili się tłum młodzieży. Przeszłam przez dwa etapy z dwoma tekstami przygotowanymi na konkurs. Wówczas Aleksander Bardini kazał mi, na drugi dzień, przygotować monolog Judyty z „Księdza Marka”. I dodał: – *Tylko nie mów tego tak, jak wyglądasz. Masz pokazać, że w małym ciele jest wielka siła.* Przeplakałam całą noc, bo jakże mogłam uczyć się tej nieszczej Judyty w tym tłumie ludzi w pokoju? Następnego dnia powiedziała mam profesorowi, że rezygnuję. Zabrał moje papiery i kazał zdawać do Krakowa, gdzie we wrześniu były dodatkowe egzaminy. I dodał: – *Jeśli nie zdasz – napisz do mnie natychmiast. Jeśli zdasz – nie odzywaj się więcej.*

– **Po zdaniu egzaminie zapewne odezwała się Pani do swego promotora?**

– Ależ skąd. Wszystko przez tę moją cholerną skrupulatność. Skoro powiedział, że nie.

– **Tym razem nie było już płaczu i żadnych problemów?**

– Werdykt egzaminu ogłosił Eugeniusz Fulde: – *Pani Kosińskowskiej to się pani podobała, zmieści się pani na roku, bo nie zajmują pani zbyt wiele miejsca.*

– **Miała Pani kompleksy z powodu swojego wzrostu?**

– Do dziś je mam. Długo wydawało mi się, że aktorstwo i ja to dwie różne rzeczy. Gdy gram z Tadeuszem Hukiem, nieźle to wygląda, prawda? Z kolei Jurek Bińczycki zawsze stawał koło mnie do ukłonów – zestaw był niezły. Ale też ten wzrost przyczynił się do mojego teatralnego debiutu. Po I roku dyrektor Krzemieński zaangażował mnie do „Cudu w Alabamie”, który reżyserował w Starym Teatrze. Zagrałam główną rolę – 9-letniej, głuchoniemej i niewidomej dziewczynki.

– **I to był Pani pierwszy sukces?**

– Tak napisano.

– **No jakże, przecież po tej roli posypały się kolejne propozycje?**

– No tak, na II roku zagrałam rolę w „Weselu” Wajdy, a zaraz potem dostałam główną rolę – Natałki w filmie „Drewniany różaniec”.

– **Jak Pani godziła studia z pracą w filmie i teatrze?**

– Z powodu „Drewnianego różańca” musiałam wziąć roczny urlop dziekański. Wtedy też dostałam małą rolę w filmie Ścibora-Rylskiego, „Późne popołudnie”. Podobno chłopcy

biegali na ten film z powodu rozneglizowanych aktorek. Tym „neglizem” był na owe czasy kostium kąpielowy. Wcześniej zagrałam w telewizyjnej noweli filmowej Petelskich – „Buty”. Scenariusz napisała dla mnie Ewa Petelska. Potem wróciłam na studia, które skończyłam w 1967 roku.

– **Nie przewróciło się Pani w głowie od tego całego filmowego zgiełku?**

– Ależ skąd. Rzeczywiście, w szkole przyjęto mnie trochę nieufnie, ale szybko zorientowano się, że woda sodowa nie uderzyła mi do głowy.

– **Oglądając Pani role odnoszę wrażenie, że jest Pani aktorką niewłaściwie wykorzystywaną. Tęskni Pani za latami Teatru „Rozmaitości” – złotym czasem w Pani karierze?**

– On i tak nie wróci, ale mam miłe wspomnienia. To był dla mnie dobry okres. Zaraz po szkole Halina Gryglaszewska, dyrektorka „Rozmaitości” – obecnie „Bagatela” – dała mi angaż. Już nigdy później tak dużo nie grałam. To w „Rozmaitościach” właśnie byłam Ofelią obok Hamleta – Wardejną, Infantką i Elwirą w „Cydzie”, Marią w „Komu bić dzwon”, Antygoną. No i pracowałam w grupie „Proscenium”. Niestety, przedwczesna śmierć Janka Łukowskiego przerwała nasze dalsze prace. Życzyć każdemu aktorowi, żeby po szkole miał taką możliwość grania, jak ja. I niekoniecznie od razu w Teatrze Narodowym. Ważne, by grać. Wiele w tym zawodzie zależy od przypadku i szczęścia.

– **Nie żałuje Pani, że odmówiła dyrektorowi Bronisławowi Dąbrowskiemu zaangażowania się do Teatru im. Słowackiego?**

– Widzi pani, ja mam w sobie coś z niepozornej myszy. Ten piękny, złożony budynek trochę mnie przerażał. Dyrektor Dąbrowski uczył nas w szkole. Statystowaliśmy u niego w „Nocy listopadowej”. Gdy po jednej z prób rozświetlił widownię i zaczął mówić o Modrzejewskiej, Solskim, Osterwie, pomyślałam: Takie święte miejsce – to nie dla mnie.

– **Miała Pani w „Rozmaitościach” jak u Pana Boga za piecem, a jednak w 1970 roku przeszła Pani do „Starego”. Marzyła się Pani kariera na uznanej scenie?**

– Nic podobnego. Słowo „kariera” nie istniało i nie istnieje dla mnie. Koledzy chodzili do dyrektora Hübnera, pytali o angaż – ja nie. To Konrad Swinarski zaangażował mnie do ro-

li Hermii w reżyserowanym przez siebie „Śnie nocy letniej”. Potrzebna była aktorka niższa od Anny Polony, która grała Helenę. Dopiero niedawno dowiedziałam się od Hanki, że to właśnie ona chciała grać Hermię i potrzebowała wyższej od siebie Heleny. Stąd też, jak mnie wtedy zobaczyła, krzyknęła do Konrada: – *Nie, nie, ona jest mniejsza.* I uciekła.

– **W Starym Teatrze jest Pani 32 lata, zagrała Pani 45 ról, pierwszoplanowych i mniej znaczących...**

– Ról nie było aż tak dużo, natomiast reżyserzy wspaniali: Swinarski, Wajda, Jarocki, Grzegorzewski, Kutza. Właśnie za czasów Swinarskiego, Wajdy i Jarockiego, tak kompletnie różnych twórców, aż kipiało od zapału do pracy. Narzucili sobie rodzaj twórczej rywalizacji, która nam też się udzielała. Swinarski był wspaniałym człowiekiem, do niego każdy lgnął, choć czasami wykipiał, wyśmiał, ale nigdy nie wyszydził i nie poniżył. Nie każdy to potrafi.

– **Legendy krążą o jego sposobach otwierania aktora. Jak to w praktyce wyglądało?**

– Przed nim nie chciało się mieć tajemnic. Paplało się do niego o wszystkim, bo on też dużo o sobie opowiadał. I umiał słuchać. Otwierał równocześnie siebie i nas. A że umiał z tego czerpać – na tym też polegał jego wielki talent. Potrafił też postawić na scenie taki wybuchowy aktorski zestaw, że tylko zacierał ręce, śmiejąc się: – *No, zaraz się pozabijają.* Wiedział, że tego typu działania powodują iskrzenie, nawet w dziesiątym rzędzie statystów. U Konrada każdy czuł się potrzebny i niezastąpiony, bez względu na wielkość zadania, jakie miał do wykonania.

– **W książce Józefa Opalskiego o próbach „Hamleta” wspomina Pani dublurę z Anną Dymną, jako rodzaj szczególnej manipulacji intymną sferą uczuć, w celu osiągnięcia efektu artystycznego. Czy nie był to rodzaj nadużycia?**

– Jak próbowałyśmy z Anią Dymną Ofelię, Konrad mówił: – *Ela, otruj ją, powinnyście się nienawidzić.* I obserwował. Ale nie udało mu się nas skłócić. Manipulacje dotyczyły zupełnie innych spraw, na które same dałyśmy przyzwolenie. Jego metody zawsze były dla nas, a nie przeciwko nam. Podobnie było w „Dziadach”. Myślę, że gdybym miała zagrać u Konrada jakiegoś potwora, to on potrafiłby go znaleźć we mnie.

– **Jego przeciwnostwem jest Jerzy Jarocki, słynący ze swego zdystansowania i chło-**

du emocjonalnego. Jak się z nim Pani komunikowała?

– Jarocki daje uwagi i trzeba je realizować. Nigdy nie miałam odwagi z nim dyskutować, a podczas pracy nad „Procesem” Kafki po prostu się go bałam.

– **Kiedyś powiedziała Pani, że praca z Jerzym Grzegorzewskim daje szczególny rodzaj radości. Na czym on polega?**

– Znam dwóch Grzegorzewskich. „Wesele”, „Dziesięć portretów z Czajką w tle” – wtedy to był mój ukochany reżyser. Po „Czajce” uwielbialiśmy go wszyscy, a baby chciały Jurka jeść tyłkami. Zawsze mało mówił, ale my natychmiast wyczuwaliśmy jego intencje, nastrój, wtapialiśmy się w jego obrazy. Gdy wrócił do nas po dłuższej przerwie, mieliśmy trudności w porozumiewaniu się. Pewnie i w nim, i w nas wiele się zmieniło. Lub za rzadko się spotykaliśmy.

– **W tym zestawie wielkich osobowości ważną rolę w Pani karierze odegrał, jak sądzę, Andrzej Wajda?**

– Świetnie nam się pracowało przy „Z biegiem lat, z biegiem dni”, „Antygonie”, gdzie grałam Ismenę. Wajdzie dużo zawdzięczam. W „Biesach” musiałam przede wszystkim poradzić sobie sama ze sobą. Podczas tej realizacji działy się różne, dziwne rzeczy, biesy wszędy do teatru. Wszyscy mieliśmy takie przekonanie. Ktoś nie wytrzymał napięcia, zewnątrz przenikały jakieś pogłoski, w zespole zaczęły się konflikty... Praca była wspaniała choć trudna, a efekt znakomity. I tylko to było ważne.

– **A czy Pani jest konflikto-**

wa w pracy? – Nie, ale nie zawsze jestem potulna. Kłótnie twórcze są potrzebne, dlatego szarpie od reżyserów jak najwięcej, bo w naszej pracy jesteśmy jak w rodzinie – Kochamy się, kłócimy, spieramy, walczymy, ale liczy się tylko efekt. No, Jarockiemu i Kutzowi to się nie postawię, a może czasami powinnam? Wie pani, ja się w reżyserach od razu zakochuję...

– **A co na to mąż?**

– Wybacza, bo wie, że to jest „romans aktorski”. Do każdego mam na „dzień dobry” ogromne zaufanie. Idę jak ćma, wierzę we wszystko i czekam na to, co reżyser zechce ze mnie wydobyć.

– **Rolą w sztuce Różewicza „Spaghetti i miecz” poka-**

– Paradoksalnie tragiczki, a za taką jestem uważana, często sprawdzają się w komediach. Z Kutzem spotkałam się po raz pierwszy przy realizacji „Samobójcy”. Potem zagrałam jeszcze epizody w dwóch jego filmach. No i wreszcie „Spaghetti i miecz”, telewizyjni „Wielebni” i „Damy i huzary”.

– **A czy wie Pani, dlaczego nie gra u Krystiana Lupy?**

– Nie wiem, uwielbiam jego przedstawienia. Po „Braciach Karamazow” poszłam zachwycona do Krystiana i powiedziałałam mu, że go nienawidzę. Zdziwił się. Dodałam: – *Dlatego, że nie pozwolił mi nawet przejść u siebie przez scenę.*

– **Czy kina też Pani nienawidzi? Po udanych początkach zapomniało o Pani.**

– Nie, choć rzeczywiście grałam w nim niewiele. Kilka ról „przeplakałam”. Tak się utarło: potrzebujesz płaczącej aktorki – to weź Karkoszkę. Natomiast lubię Teatr Telewizji, w którym kiedyś sporo grałam. Niestety, też kobiety cierpiące, nieszczęśliwe, porzucone.

– **Teraz Pani córka jest studentką krakowskiej PWST. Czy to była jej decyzja, czy re-**

sentyment matki? – Chciała spróbować, więc jej nie powstrzymywałam. Chciałabym z nią kiedyś zagrać. Mamy dobry kontakt z sobą. Karolina jest po prostu świetną dziewczyną.

– **Nie ma Pani żalu do losu, czy też ludzi, że nie zagrała wielkich, znaczących ról, takich, które utrwaliłyby się w świadomości pokoleń?**

– Bo ja wiem? Chciałam, żeby było inaczej, ale mówią, że każdy jest kowalem swego losu. Widać tak miało być, „wszystko od układów zależy”, jak mówił Fredro. Cieszę się, że wytrzymałam w tym „złodziejskim zawodzie”. My, aktorzy, wciąż okradamy się z pomysłów albo kradniemy je z życia, obserwując ludzi, ich zachowania, sytuacje. Nie wiem nic o moich sąsiadach, czy właśnie pobrali się, czy rozwiedli. Natomiast dokładnie znam ich zachowania, reakcje, mimikę twarzy, sposób gestykulacji. Potem to, co ukradłam, oddaję na scenie.

– **Obchodzi Pani jubileusz 35-lecia pracy artystycznej...**

– Tak, ale proszę o tym nie pisać, bo moja „jubileuszowa rola” w „Carze Mikołaju”, najnowszym przedstawieniu „Starego” gram za kulisami. Pokazuję się na chwilę w ostatniej scenie, żeby – jak mówią koledzy – publiczność nie myślała, że krzyki za sceną są nagrane na taśmie. W tym zawodzie nie chodzi o jubileusze ani o świadomość pokoleń, ale o radość dawania innym wzruszeń i przemyslenia. Mam nadzieję, że czasami to mi się udaje. Zapraszam na czterdziestolecie.

Fot. RYSZARD KORNECKI